



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

ОА

Михаил

ADAM PRZECHRZTA

**CHORĄGIEW
MICHAŁA
ARCHANIOŁA**



Spis treści

Karta tytułowa

Depozytariusz Chorągwi Archanioła

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Cykl Materia Prima

Demony Razumowskiego

Depozytariusz Chorągwi Archanioła

Karta redakcyjna

Okładka

ADAM PRZECHRZTA



CHORĄGIEW MICHAŁA ARCHANIOŁA

Ilustracje
Jarosław Musiał

fabryka słów[®]

Lublin – Warszawa

Depozytariusz Chorągwi Archanioła:

- Chorągiew Michała Archanioła
- Białe noce

Rozdział pierwszy



Wbiłem nóż w wątrobę Huberta – nie zareagował. Zmieniłem uchwyt i pchnąłem w *arteria subclavia*. Zadrżał lekko. Wreszcie uderzyłem kolaniem. Teraz zapiszczał. To znak, że cios, który trafił go w klatkę piersiową, został zadany z prędkością większą niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. W realnym starciu umarłby trzykrotnie. Hubert był manekinem, dość szczególnym manekinem. Dostałem go od wujka Maksa na urodziny. Tylko on o nich pamiętał. Tak naprawdę nie był moim krewnym, a jego talent wynalazcy-majsterkowicza przewyższały jedynie predyspozycje do zupełnie innej pracy. Była to profesja z gatunku tych, o których raczej nie mówi się w towarzystwie... No cóż, rodziny się nie wybiera, nawet przyszywanej.

Zdecydowałem, że na dzisiaj wystarczy. Otarłem pot z czoła, schowałem Huberta do szafy i przeszedłem do łazienki. Stojąc pod strugami gorącej wody, rytmicznie napinałem i rozluźniałem mięśnie, rozkoszując się przyjemnym potreningowym zmęczeniem. Lubię to uczucie pojawiające się, kiedy nasz organizm da z siebie wszystko, kiedy wiemy, że jest sprawny, silny i giętki. Kiedy słucha naszych rozkazów.

Po kąpieli wyciągnąłem się na kanapie w starym, sfatygowanym, ale za to wygodnym szlafroku.

Telefon zadzwonił, przerywając mi podziwianie kolekcji dziewiętnastowiecznych fotografii. Dość specyficznej kolekcji. Pólnagie kobiety pozowały do zdjęć ze szpadą. Mało kto wie, że pod koniec dziewiętnastego wieku pojedynki wśród płci pięknej były dość popularną rozrywką. Oczywiście nie chodziło o prawdziwą walkę, ale o sam ceremoniał. Dziś do rozkładówek pism typu „Playboy” nie rozbierają się chyba tylko zakonnice, dawniej sytuacja wyglądała nieco inaczej. Każda kobieta, która odważyłaby się publicznie ukazać swoje wdzięki, zostałaby natychmiast sklasyfikowana jako dziwka. Chyba żeby pozowała przed pojedynkiem... Skromność skromnością,

ale ówczesne przepisy pojedynkowe nakazywały walczyć półnago, żeby wykluczyć ewentualność, że któryś z adwersarzy skorzysta z niedozwolonej ochrony torsu. Czasem tuż przed walką bandażowano brzuch, aby ograniczyć możliwość głębokich pchnięć. Moje wojownicze nimfy fotografowały się bez żadnych osłon. Trudno mi było cokolwiek powiedzieć o ich umiejętnościach szermierczych czy wyniku pojedynków (o ile w ogóle się odbyły), jednak nie ulegało wątpliwości, że jako kobiety nie miały się czego wstydić.

Podniosłem niechętnie słuchawkę, studiując detale zdjęcia utrzymanego w stylu wiedeńskiego Kameraklubu. Młoda, zgrabna blondynka uśmiechała się figlarnie do obiektywu, demonstrując imponujący biust i utrzymaną całkiem fachowo szpadę. Całą kompozycję cechowała typowa dla wiedeńczyków wykwinna swoboda. Jestem historykiem i moje zainteresowanie miało wyłącznie naukowy charakter.

– Tak? – rzuciłem sucho.

– Pan doktor Janusz Korpacki?

Głos był głęboki i spokojny. Wyczuwało się, że mój rozmówca nie musi krzyczeć, aby postawić na swoim.

– We własnej osobie – mruknąłem.

– Dzwonię z polecenia profesora Davidoffa...

Westchnąłem i odłożyłem zdjęcie. Profesor Davidoff był europejskiej sławy uczonym, specjalistą w zakresie cybernetyki społecznej, człowiekiem, który jako pierwszy na świecie zastosował aparat pojęciowy cybernetyki do opisu zjawisk historycznych. Był także moim nauczycielem, promotorem i *toutes proportions gardées* – przyjacielem.

– Słucham – powiedziałem dużo cieplejszym tonem.

Byłem winien profesorowi niejedną przysługę i nie miałem nic przeciwko, aby spłacić choć część długu.

– Nazywam się Karol Wirde. Chciałbym...

– Ten Wirde od Commerzbundesbanku?

Zapadła nieprzyjemna cisza. Najwyraźniej pan Wirde nie docenił mojej szczerości.

– Tak – powiedział wreszcie. – Jestem jednym z ważniejszych udziałowców tej... instytucji. Może to dobrze, że pan zapytał, w ten sposób wyjaśniliśmy sprawę mojej wypłacalności.

– Chodzi panu o badania historyczne, a może genealogiczne? W zasadzie nie zajmuję się tym na zlecenie osób prywatnych, jednak

dla profesora...

– Nie – teraz on mi przerwał.

Wyszło mu to całkiem nieźle, widać było, że ma wprawę.

– Chodzi mi o kwestie kryminalne, mające prawdopodobnie związek z pana specjalnością jako historyka.

– Którą? – zapytałem odruchowo.

– Myślę o polskich służbach specjalnych z okresu międzywojennego.

– Tak?

– Mój dziadek był współpracownikiem kontrwywiadu w tym okresie. Rozpracowywał nielegalne organizacje terrorystyczne, głównie komunistów. Mój syn zainteresował się pewnymi dokumentami dotyczącymi kilku prowadzonych przez niego śledztw. Robił notatki, z których wynika, że część tych dokumentów nagle zniknęła z jednego z warszawskich archiwów. Dwa dni później został zamordowany.

Milczałem przez chwilę. Nie miałem najmniejszej ochoty wdawać się w coś takiego. Niektóre sprawy rzucały długi cień.

– W jaki sposób zginął? – spytałem wreszcie.

– Wpadł pod pociąg.

– Został zepchnięty na tory?

– Nie. Świadkowie twierdzą, że stanął naprzeciwko pociągu pospiesznego, dokładnie pośrodku torów, i dał się przejechać... Po prostu stał i patrzył na zbliżającą się lokomotywę. Maszynista próbował hamować, ale nie miał szans... Policja podejrzewała, że syn był pod wpływem narkotyków, ale specjalistyczne badania nie wykryły żadnych śladów po tego typu środkach.

– Dlaczego pan twierdzi, że to było morderstwo?

– Mój syn nigdy nie brał narkotyków, świadkowie widzieli jakiegoś mężczyznę, który z nim rozmawiał na chwilę przed tym... zdarzeniem, podobno uczynił gest w stronę torów, jakby mu nakazywał iść w tym kierunku, wreszcie zginęły te dokumenty...

– Co to za dokumenty?

– Fotografie kilku komunistycznych szpiegów, krótkie charakterystyki sporządzone przez przedwojenny kontrwywiad i parę luźnych stron.

– Są prawdopodobnie bez znaczenia – stwierdziłem.

– Dlaczego?

Głos Wirdego nadal brzmiał spokojnie, jednak czuło się w nim

teraz podskórne pęknięcie, skazę.

– To codzienność w naszych archiwach. Przeważnie fotki i dane komunistycznych agentów trzymane są w wielkich albumach. Nikt nie jest w stanie sprawdzić, czy nic nie zginęło, kiedy korzystający z dokumentów oddają je pod koniec dnia. Kiedyś przez tydzień siedziałem w takim archiwum...

– A konkretnie?

– Czy to ważne? Co drugi, co trzeci dzień ginęły jakieś notatki i zdjęcia. A to komuś nie pasowało, że dziadzius jest wymieniany jako komunistyczny szpieg czy dywersant, inni z kolei sądzili, że znajdują haka na konkurenta z lewicy, jeśli rzuca prasie garść faktów o tym, że jego przodek sprzedał się Sowietom... Rozumie pan, że nawet brukowiec wymagałby potwierdzenia takich rewelacji, stąd popyt na tego typu dokumenty.

– Sugeruje pan, że to lewicowi politycy...

Po raz pierwszy wyczułem gniew w jego głosie.

– Niczego nie sugeruję – uciałem. – To tylko luźne dywagacje. Osobiście jest mi obojętne, czy te akta przemeblował jakiś przemalowany na różowo były komuch, czy oszołom z prawicy. Mówię tylko, że takie rzeczy to normalka i najprawdopodobniej nie mają żadnego związku ze sprawą, a pański syn mógł mieć sto różnych powodów, żeby popełnić samobójstwo bez żadnych narkotyków, albo wziął takie, których nie wykryto...

– Jednak chcę, aby się pan tym zajął. Nie za darmo.

Wymieniona przez mojego rozmówcę suma była oszałamiająca. Wystarczyłaby mi na parę lat spokojnego życia i coroczne wakacje na wyspach Bahama. Dla kilku osób.

– Nie będę wykorzystywał pańskiej sytuacji – rzuciłem szorstko. – Nie jestem w stanie...

– Mógłbym zasugerować, aby podjął pan decyzję jutro?

– To niczego nie...

– Proszę. Profesor Davidoff powiedział, że jest pan prawym i uczciwym człowiekiem. Dostatecznie twardym i zorientowanym w temacie, aby udzielić mi pomocy.

Stwierdzenie, że opadła mi szczeka, byłoby eufemizmem. Żaden z uczniów profesora, nawet najzdolniejszy, nie otrzymał nigdy wyższego stopnia niż „cztery z minusem”. Davidoff był maniakałnym perfekcjonistą. W kwestii zasad moralnych okazał się jeszcze gorszy. W naukowym świecie żartowano, że z zespołu Davidoffa można

wylecieć za jazdę tramwajem na gapę. Twierdzenie to nie odbiegało wiele od stanu faktycznego.

– Mówimy o tym samym człowieku? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak. – Wirde roześmiał się krótko. – Wiem, że on jest dość oszczędny w pochwałach. Takiej laurki z jego ust jak żyję nie słyszałem. Dlatego tak mi zależy na pańskiej pomocy...

– Zadzwoń jutro – zgodziłem się niechętnie.

– Ma pan mój numer czy podyktować?

Sapnąłem. Niewiele osób wiedziało, że mam podłączone do telefonu urządzenie identyfikujące rozmówcę, nawet takiego, który nie chce być zidentyfikowany. To gadżet związany z moją pracą. Czasem udzielam konsultacji odnoszących się do teraźniejszości. Cybernetyka to dość pożyteczne narzędzie, a ja uchodzę za następcę Davidoffa w tej dziedzinie.

– Mam.

– A więc czekam.

Pan Wirde powiedział, co chciał, i odłożył słuchawkę. Trochę mnie to wkurzyło, ale nie na tyle, aby czepląc się faceta, który niedawno stracił syna. Wobec bólu wszyscy są równi.

Przyszykowałem sobie drinka i zapaliłem cygaro. Wyłożyłem się wygodnie w potężnym, obitym prawdziwą skórą fotelu, oparłem stopy na jednej z półek mojej biblioteczki. Mam trzypokojowe mieszkanie, ale jest ciasno, ponieważ wzdłuż wszystkich ścian stoją regały z książkami. Wydmuchnąłem w zamyśleniu dym w kierunku sufitu. Mimo rozważenia rozmaitych opcji jedno nie ulegało wątpliwości – telefon do Davidoffa był niezbędny. Jako członek zespołu miałem zastrzeżony numer profesora, pod którym mogłem go zastać o każdej porze dnia i nocy. Istniał jednak pewien problem – Davidoff cenił sobie spokój i prywatność, a każdy, kto nadużył udzielonych mu przywilejów, narażał się na jego gniew. Nie jestem mięczakiem, ale wierzcie mi – nie chcielibyście wkurzyć Davidoffa. Naprawdę nie chcielibyście...

Odetchnąłem głęboko i wystukałem numer profesora.

– Davidoff – usłyszałem.

– Dzień dobry, panie profesorze...

– O, Jasiu! – ucieszył się do słuchawki.

Nie było źle. Davidoff miał zwyczaj poufałego, niemal familiarnego traktowania osób, które lubił. Nielubiane lub takie, które mu się

czymś naraziły, traktował z zimną, mrozącą krew w żyłach kurtuazją.

– Dzwonił do mnie pan Wirde... – zacząłem.

– Tak, tak... To tragiczna historia. Pomożesz mu oczywiście?

– Kiedy to nie moja dziedzina, panie profesorze...

– Służby specjalne z okresu Drugiej Rzeczypospolitej?

– Zniknięcie tych dokumentów nie miało raczej nic wspólnego z całą sprawą – odparłem z wahaniem.

– Miało – powiedział stanowczo Davidoff. – Zobaczysz pan sam, panie Janku, po zapoznaniu się z konkretami. Ma to związek z czerwoną teczką.

Zamilkłem. Najwyraźniej traciłem punkty. Davidoff świetnie mówił po polsku, jednak nigdy nie rozróżniał zbyt dobrze takich imion jak „Janusz” czy „Jan”. Niemniej jednak sprawa była jasna – nie podobała mu się moja postawa, co zaszygnował przejściem na „pan”. Kiedy przygotowywałem swój doktorat do publikacji, odłożyliśmy do osobnej teczki materiały, których ujawnienie mogłoby skrzywdzić żyjących jeszcze ludzi bądź stanowiło zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Czy miało to sens w przypadku archiwaliów sprzed dziesiątek lat? Nawet tych opatrzonych gryfem ŚCIŚLE TAJNE? Jak mówiłem, niektóre sprawy rzucają długi cień. Wszystkie te dokumenty umieściliśmy w czerwonej kartonowej teczce.

– Hm...

– Chodzi o sprawę Alchemika – powiedział ostrożnie Davidoff.

Kryptonimem „Alchemik” oznaczono w aktach osobę, która wniosła wyjątkowy wkład w działalność polskich służb specjalnych. Znajdowane tu i ówdzie aluzje pozwalały domniemywać, że to właśnie pomoc Alchemika zadecydowała w dużej mierze o zwycięstwie w wywiadowczej walce ze wschodnim sąsiadem.

– Mówi pan profesor, że to... wypłynęło teraz? – wyjąkałem.

– Tak.

– Wydaje mi się, że trzeba by zawiadomić ABW albo...

Usłyszałem wyraźne zgrzytnięcie zębów.

– Szanowny panie doktorze, gdybym sądził, że jakaś instytucja może rozwiązać ten problem, nigdy nie wysyłałbym ojca ofiary do pana. Niemniej jednak zdaję sobie sprawę, że...

– Chwileczkę, panie profesorze, muszę pomyśleć...

W słuchawce zapadła cisza.

– Nawet gdybym się tego podjął i udźwignął ciężar tej sprawy w aspekcie historycznym czy archiwistycznym, to pozostaje jeszcze sfera kryminalna... – zacząłem.

– Był pan przecież w wojsku.

– Tak, w kwatermistrzostwie. Specjalność: MPS.

– Co to takiego? – zapytał z autentyczną ciekawością Davidoff.

– Materiały Pędne i Smary. Gdyby pan profesor był zainteresowany, ile ropy spala czołg w warunkach bojowych, albo chciał go zatankować, to trafił pan na właściwego człowieka, jednak...

– Zawsze podziwiałem twoją skromność, Jasiu – stwierdził ponownie życzliwym tonem mój rozmówca. – Słyszałem coś mimochodem o twoim... ekhm... harcerskim epizodzie.

Najwyraźniej teraz ja zgrzytnąłem zębami, bo usłyszałem w słuchawce śmiech. Davidoff miał nadnaturalny wręcz talent do gromadzenia wszelkiego typu ploteczek. Teraz chciał mi dać do zrozumienia, że słyszał, jakobym przeszedł także szkolenie o niezupełnie kwatermistrzowskim profilu.

– Ci analitycy nie mogli się ciebie nachwalić. Pamiętasz, o kogo mi chodzi?

Pamiętałem. To było dwóch milczących, posępnych facetów, którzy przyjechali do Krakowa wraz z delegacją rosyjskich naukowców. Zajmowali się cybernetyką społeczną i nie tylko... Najpierw o mało się nie pobiliśmy, kiedy okazało się, że walczyli w Czeczenii. Byli w Specnazie czy innym Omonie. Mnie nie podobało się to, co wyprawiało rosyjskie wojsko w Groznym, a im, że mówiłem o tym bez osłonek i oskarżałem armię *en masse*. Potem puścili mi amatorski film z akcji w Biesłanie, gdzie widziałem, jak rosyjscy komandosi padają pod ogniem terrorystów, osłaniając własnymi ciałami uciekające dzieci. W efekcie popiliśmy się tak, że na samo wspomnienie dostaję migreny.

– Co oni nagadali panu profesorowi?

– Nie pamiętasz, o czym dyskutowaliście? – zapytał z udanym współczuciem Davidoff. – Nic dziwnego. Podobno któryś z was czekał na pudła rektora i chciał go zjeść...

– Profesorze! – jęknąłem.

– Sforsowałaś prawie trzymetrowy mur wokół domu rektora, unieszkodliwiłaś jeden z lepszych systemów alarmowych i otworzyłaś bramę tym dwom. Kiedy weszli, z wdzięczności wysikali twoje nazwisko na śniegu.

- Niemożliwe! Gdyby tak było, już bym nie żył!
- Było, było... Na szczęście gosposia rektora, która zadzwoniła na policję, nie zna rosyjskiego, a napis był wykonany cyrylicą. Potem ktoś go zmazał.
- Kto?!
- Koleżanka tych dwóch. Też mi wyglądała na... harcerkę.
- Nie wiem, czy to coś da, ale jeśli pan profesor sobie życzy, zajmę się sprawą pana Wirdego – wymamrotałem.
- Nie śmiałbym nalegać, panie doktorze...
- Już dobrze, zrobię to, zrobię.
- Miłego popołudnia, Jasiu – zachichotał Davidoff, odkładając słuchawkę.



Następnego dnia poinformowałem Wirdego, że przyjmuję jego propozycję, i umówiliśmy się w Europejskiej. Miał przekazać mi notatki syna. Mimo iż przyszedłem pięć minut przed czasem, bankier już czekał przy okrągłym stoliku z butelką Hennessy Paradis i skrzynką cygar Bolivar. Najwyraźniej Davidoff poinformował go o moich upodobaniach. Kiedyś muszę zapytać profesora o jego znajomość z Wirdem. Generalnie Davidoff nie przepada za finansistami, ale wyglądało na to, że mój klient jest wyjątkiem od tej reguły.

Wirde wstał na mój widok i przywitał się uściskiem dłoni. Wyglądał na pięćdziesiąt lat z okładem: wytwornie ubrany, szpakowaty, otoczony był aurą dyskretnej elegancji. Jego twarz o wyrazistych, regularnych rysach robiła wrażenie zmęczonej, w oczach widziałem ból, może desperację. Bez słowa podał mi cienką plastikową teczkę i nalał koniaku. Zachęcony uprzejmym gestem poczęstowałem się cygarem. Obracając je w palcach, zabrałem się do studiowania akt. Po chwili zakląłem wściekle, Davidoff miał rację – to wszystko wiązało się ze sprawą Alchemika! Przejrzałem na wszelki wypadek resztę dokumentów, tak jak się spodziewałem, nie znalazłem niczego podejrzanego. Jednym haustem wychyliłem trunek o delikatnym pieprzowym zapachu. Zmarnowałem dobry alkohol, ale nie byłem w nastroju do kontemplacji. Przyciąłem cygaro i odetchnąłem głęboko, starając się uspokoić. Podziękowałem skinieniem głowy kelnerowi, który podał mi ogień, potem przez kilka

minut paliłem w milczeniu, usiłując uporządkować to wszystko w myślach. Wirde siedział z kamienną twarzą naprzeciwko mnie. Czekał.

– Może pan mieć rację – powiedziałem wreszcie.

– W jakiej kwestii? – spytał zimno.

– Być może ktoś faktycznie zabił pańskiego syna...

– Czy posiada pan jakieś informacje, które można by przekazać policji?

Pokręciłem głową.

– Raczej nie.

– To skąd ten wniosek? – Wirde pochylił się nad stolikiem i wpatrzył we mnie w napięciu.

– Co pan wie o alchemii?

– Spotkałem się z kryptonimem „Alchemik” w notatkach syna – odparł, wskazując leżącą na stole teczkę. – Nie wiem, jaki ma to związek z alchemią jako taką. Nigdy mnie takie sprawy nie interesowały. – Wzruszył ramionami.

– Alchemia uchodzi za poprzedniczkę chemii, za naukę, której adepci trwonili czas i pieniądze, chcąc opracować metodę zamiany ołowiu w złoto lub wytworzyć kamień filozoficzny dający nieśmiertelność i leczący wszelkie choroby – wyjaśniłem krótko.

– Uchodzi? – Wirde uniósł brwi.

– To nie jest takie proste. Koncepcje alchemiczne są jedyne w swoim rodzaju i nie mają nic wspólnego z zasadami chemii. Niektóre z nich sprawdziły się w praktyce.

– Niech zgadnę, pewnie nie chodzi o to przekształcanie ołowiu w złoto – westchnął bankier. – To by było zbyt piękne.

– Są rzeczy cenniejsze od złota – zauważyłem.

– Mianowicie?

– Alchemia jest uprawiana do dzisiaj, tak było też w okresie międzywojennym. Niektórzy adepci osiągnęli obiecujące rezultaty.

– A konkretnie?

– We Francji niejaki Barbault opracował recepturę „roślinnego złota”. Substancja ta leczy uremię, syfilis i stwardnienie rozsiane.

– Leczy?!

– Tak, niektórzy lekarze stosują ten preparat. To tylko jeden z przykładów. Nie ma się czym zachwycać, bo „roślinne złoto” okazało się koszmarnie drogie w produkcji i raczej nie zanosi się, aby wyparło klasyczne leki. Chodzi mi tylko o fakt, że niekoniecznie

wszystkie koncepcje alchemiczne to bajka...

– Rozumiem, że ów wymieniony w dokumentach Alchemik nie zajmował się raczej leczeniem syfilisu – stwierdził Wirde, zapalając cygaro.

– Nie. Opracował substancję, która całkowicie neutralizowała naturalny zapach człowieka, zastępując go wonią lasu. To wiadomo na pewno. Rozumie pan, jakie to miało znaczenie przy nielegalnym przekraczaniu granicy z Rosją? Szanse naszych agentów wzrastały o kilkadziesiąt procent. Oczywiście znano już wtedy sztuczki, które potrafiły pozbawić węchu psa tropiącego: znaczone trop naftą, drobno zmielonym pieprzem... Jednak zorganizowany pościg, mający do dyspozycji kilka psów, nie dał się powstrzymać za pomocą takich prymitywnych metod. Co innego, kiedy zwierzęta po prostu nie czuły zapachu człowieka.

– No tak, ale dzisiaj...

Przerwałem mu stanowczym gestem.

– Nawet dzisiaj byłaby to bardzo użyteczna substancja. Niestety, sekret jej wytwarzania zaginął. Jak powiedziałem: tyle wiemy na pewno. Jednak są jeszcze inne pogłoski...

– Tak?

– Polskie służby specjalne wielokrotnie były oskarżane przez komunistów o stosowanie tortur w śledztwie, ale badania naukowe raczej to wykluczyły. Nie ulega jednak wątpliwości, że w wielu przypadkach twarde, przeszkoleni w ZSRR agenci mówili wszystko, co wiedzą, w ciągu dosłownie minut, góra godzin. Istnieją pewne wzmianki, że Alchemik kontynuował swoje zapachowe eksperymenty... Ponoć wynalazł preparat, który zamieniał przesłuchiwanego w bezwolną, podobną do zombie istotę wykonującą wszelkie polecenia śledczego. Także kilka innych miało ciekawe działanie.

– Jakie?

Machnąłem ręką.

– To tylko plotki. Jeden z nich miał wywoływać seksualną ekscytację... Nie wiem, czy wykorzystywano go w działaniach agenturalnych, ale nie jest to wykluczone.

– Uważa pan, że mojemu synowi zaaplikowano środek, który uczynił go podatnym na wszelkie sugestie?

– To możliwe.

– Ale dlaczego?!

– Pod koniec lat trzydziestych Stalin rozczarował się do cywilnych specsłużb i włączył do akcji wojskowe. Te rozpracowały i zabiły Alchemika. W zamachu zginął także jego łącznik z polskim wywiadem. Gdzieś tu, w Krakowie, pozostała pracownia zawierająca zapewne próbki preparatów, być może receptury... Z notatek wynika, że pański syn ustalił też adres mieszkania Alchemika i zawęził obszar, w którym może się znajdować pracownia.

– Ale przecież po tylu latach...

– Skrytka, zamaskowany sejf... Coś takiego mogło pozostać niezauważone, chyba że przeprowadzono generalny remont.

– Gdzie on mieszkał?

– Z notatek wynika, że przy dzisiejszej ulicy Garncarskiej.

Wirde zmienił się na twarzy.

– Widziałem w pokoju syna plan miasta z zakreśloną Garncarską! Jednak w tych notatkach są tylko jakieś znaczki i skróty.

– To stenografia. Potrafię to odczytać – uspokoiłem go.

– Co teraz? – zapytał bankier, zaciskając zęby.

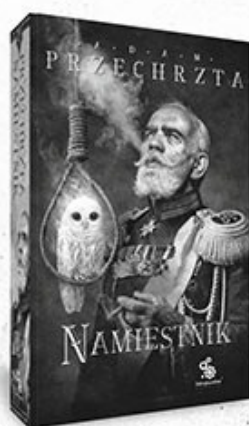
– Teraz trzeba będzie ustalić, kto zainteresował się badaniami pańskiego syna, ale to już moje zadanie.



Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.

CYKL MATERIA PRIMA

♦ ADEPT ♦
♦ NAMIESTNIK ♦
♦ CIEŃ ♦



Przechrztła pod otoczką mistyki i alchemii z tłem historii alternatywnej serwuje czytelnikowi dawkę pierwszorzędnej akcji.

paradoks.net.pl

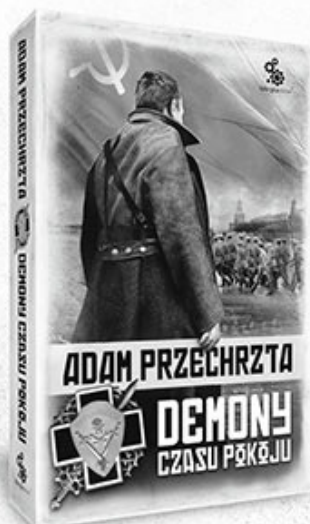
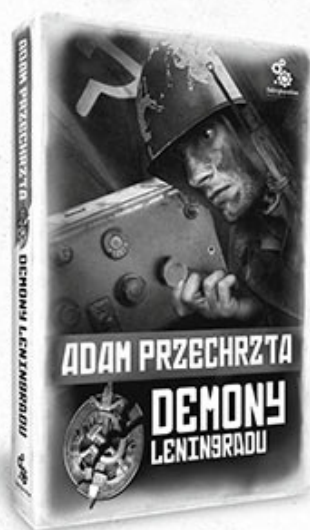
Wartka akcja, dobrze zarysowani bohaterowie, a także świetnie oddane realia epoki wzbogacone o dobrze wpasowane w fabułę wątki magiczne i nadprzyrodzone to niewątpliwe atuty tej książki.

polter.pl

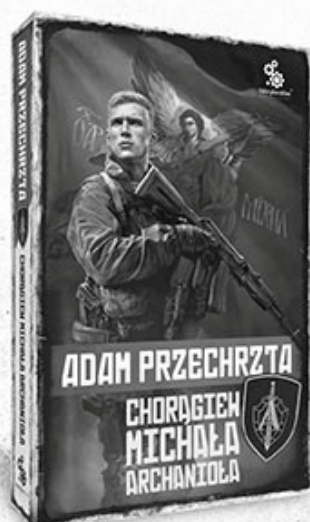
Tak, ponieważ pod względem światotwórczym powieść jest obłędnie wykoncypowana, znakomite pomysły kreują tu bowiem wizję rzeczywistości jako kolażu historii i fikcji fantastycznej. Tak, ponieważ alchemia i technologia idą ze sobą w parze, splatając się w cudowny duet tworzący rewelacyjne tło dla rozmaitych wydarzeń.

creatiofantastica.com

DEMONY RAZUMOWSKIEGO ★



DEPOZYTARIUSZ CHORĄGWI ARCHANIOLA



COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2009

WYDANIE III

ISBN 978-83-7574-542-9

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Sergei Shikin

PROJEKT OKŁADKI Konrad Kućmiński | Grafficon, Paweł Zaręba

ILUSTRACJE Jarosław Musiał

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)



ADAM PRZECHRZTA

CHORĄGIEW MICHAŁA ARCHANIOLA

Wojna polsko-ruska pod flagą archanielską

Tajne operacje sił specjalnych. Afgańcy. Terrorysty. Rosyjska mafia. Walka na śmierć i życie. Braterstwo broni. Miłość, chemia... alchemia. I bezcenna relikwia. Krótko mówiąc, metafizyka łamana przez akcje Specnazu.

Naprawdę byłem gotowy zabijać. **Jeśli przeżyjesz piekło, stajesz się twardszy, mądrzejszy, bardziej cyniczny. Ale nigdy, przenigdy nie stajesz się lepszy.**

Coraz więcej bestii, coraz mniej człowieka... – mówi Janusz Korpaczki, naukowiec zajmujący się historią i cybernetyką społeczną. Jednocześnie ekspert walki nożem, z nietypową dla mola książkowego umiejętnością otwierania wszelkiego typu zamków.

Na prośbę przełożonego **podejmuje się prywatnego śledztwa w sprawie śmierci jednego ze studentów.** Nawet nie przeczuwa, że z woli sił wyższych przyjdzie mu przewodzić wcale nie anielskim zastępom...



/fabryka



/fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

Spis treści

Karta tytułowa	3
Depozytariusz Chorągwi Archanioła	4
Rozdział pierwszy	5
Cykl Materia Prima	16
Demony Razumowskiego	18
Depozytariusz Chorągwi Archanioła	19
Karta redakcyjna	20
Okładka	22